



Czarna wstęga

Wkraczasz w świat fantasy
na własną odpowiedzialność

Michał Podgórski

CP
OSTRE PIORO

**Czarna
wstęga**

Copyright © Ostre Pióro
Copyright © Michał Podgórski

Wydanie I
Szczecin 2026

ISBN: 978-83-68498-39-4
e-ISBN: 978-83-68498-40-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji w jakiegokolwiek postaci zabronione bez wcześniejszej pisemnej zgody wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pomocą nośników elektronicznych.

Wydawca zezwala na udostępnianie okładki książki w internecie.

Projekt okładki, stron tytułowych i zadruku brzegu
Katarzyna Seregin-Kolarczyk | www.kaes-seredin.pl

Zdjęcie na okładce, elementy graficzne
Freepik

Redakcja
Monika Całka | kropkaispolka.pl

Korekta
Natalia Szoppa
Katarzyna Kurowska | stacjaprojekt.my.canva.site

Projekt typograficzny, skład i łamanie
Katarzyna Seregin-Kolarczyk | www.kaes-seredin.pl

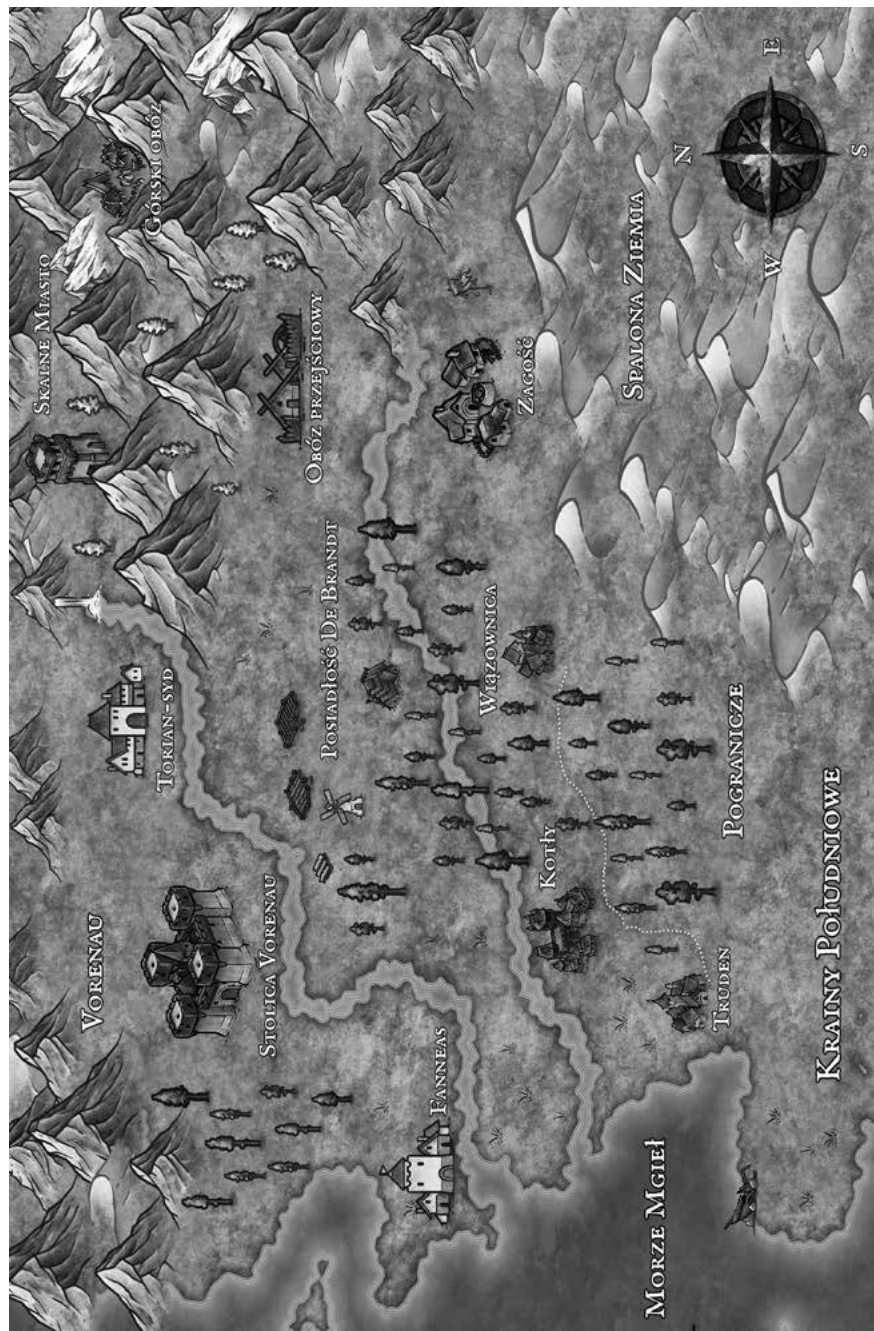


Wydawnictwo
Ostre Pióro
www.ostre-pioro.pl

Czarna wstęga

Wkraczasz w świat fantasy
na własną odpowiedzialność

Michał Podgórski



Rozdział 1



Na szczyt najwyższej z klasztornych baszt prowadziły kręte schody. Pokonanie ich wywoływało zadyszkę nawet u młodego, mogącego pochwalić się solidną tężyzną fizyczną, mężczyzny. Sześćset stromych stopni, pnących się wokół grubego, kamiennego muru, miało stanowić przeszkodę dla potencjalnych najeźdźców na tyle zdecydowanych, by splądrować klasztor. Być może technika budowy schodów była również symbolem oporu, jaki należało przełamać, by osiągnąć najwyższe cele. Ludzie o słabej woli rezygnowali z pokonania tej jakże trudnej ścieżki. Śmiałkowie, którzy wyobrażali sobie zbyt wiele, musieli wreszcie ukorzyć się przed zmęczeniem, ci nazbyt leniwi zaś w ogóle nie podejmowali się prób. Gdy człowiek wspinał się po tej wymagającej spirali, nachodziły go rozmaite myśli. Chwytał się wszystkiego, choćby i najbardziej zawilej filozofii, byleby nie myśleć o tym, z jakiego powodu właściwie się tam udaje.

Dlaczego wyznaczono mu spotkanie z najwyższym kapłanem? Co go tam czeka? Jakiej treści rozmowę przyjdzie mu przeprowadzić? Czy spotkał go największy z możliwych zaszczytów, czy może najwyższa z dostępnych kar? Jakim uczynkiem zasłużył sobie na jedno lub drugie?

Christian musiał przystanąć w połowie, by złapać oddech. Prawą dłoń oparł na zimnej, kamiennej ścianie, lewą zaś położył na kolanie, gdyż schody nie posiadały żadnej barierki, której mógłby się chwycić. Powstrzymywał się, by nie spojrzeć w bok, w przepaść. Kolejny element utrudniający śmiałkom wejście na samą górę – brak jakichkolwiek zabezpieczeń. Wystarczyłoby przecież jakieś drewniane rusztowanie albo metalowe wsporniki rozstawione co kilkanaście stopni. Niestety, budowla miała budzić grozę i niewątpliwie spełniała to zadanie. Zastanowił się, ilu podróżnych spadło i straciło życie tylko dlatego, że spoglądając w dół, zakręciło się im w głowie. Odepchnął od siebie te myśli. Poprosił Moc Stworzenia, by dodała mu siłę, jak uczono go na wieczornych zajęciach na nowicjacie, i ruszył dalej.

Znalazłszy się u szczytu, odetchnął z ulgą. W kamiennym przedsionku podłoga pod stopami i brak przeraźliwej przepaści dawały wreszcie poczucie bezpieczeństwa. Postanowił odczekać chwilę, by odpocząć i wyrównać oddech.

Gdy jego serce nieco się uspokoiło, otarł pot z czoła i poprawił habit. Czuł, że wygląda źle i nie powinien w takim stanie pokazywać się przeorowi. Ale może właśnie o to chodziło? Ktokolwiek przychodził złożyć mu wizytę, miał wyglądać jak po całym dniu pracy?

Swoją drogą, Christian słyszał, że ten, który go wezwał, był już w podeszłym wieku. Jak zatem zdołał się tutaj dostać? Czy ktoś pomógł mu pokonać schody? A może wdrapał się na basztę jeszcze za młodu i od lat nie schodził? Nie, to absurd. Najwyższy kapłan Mocy Stworzenia pojawiał się przecież nieraz we wspólnej części zabudowań, udzielał wykładów, brał udział w spotkaniach rady Trybunału, a także składał wizyty królowej, zwłaszcza przy okazji państwowych uroczystości. Kto wie, może Moc Stworzenia

dodawala mu sil, by mimo zaawansowanego wieku zdolal bez przeszkod pokonywac te mordercza droge?

Christian uslyszal ruch w pomieszczeniu za drzwiami, wiec natychmiast odepchnal od siebie jalowe rozważania podsuwane przez grzeszny umysl. Zblizyl sie do wrót i, poprawiwszy ostatni raz poly habitu, siegnal w kierunku mosięznej kołatki. Zastukala glucho w dębowe deski.

– Wejdz – uslyszal przytlumiony glós z drugiej strony.

Uchylil drzwi i nieśmialo wszedl do pomieszczenia. Panowala tu ciemność. Mroki nocy rozswietlal jedynie cięzki świecznik ustawiony na dębowym stole. Sama cela okazala sie surowa i prawie pozbawiona mebli, co nie dziwilo Christiana. Regula klasztoru nakazywala skromność i wyzbycie sie doczesnych uciech. Oprócz stołu znajdowaly sie w niej jedynie proste łózko, kufer na ubrania i regal z ksiązkami. Za stołem siedzial starszy mężczyzna, którego twarz złowrogo oświetlal blask świecy. Na tle okna za jego plecami, skąd dochodzilo wątłe światło księżyca, wygladal przerażajaco. Christianowi natychmiast skojarzyl sie ze strażnikiem miejskim, prowadzącym przesłuchanie.

– Siadaj. – Starzec wskazal przybyszowi malutki stolek.

Mnich zajął posłusznie miejsce naprzeciwko gospodarza. Ten chyba odczytal z twarzy Christiana niepokój, gdyż odezwal sie łagodniejszym tonem:

– Nie obawiaj sie. Nic złego sie nie wydarzy.

Zakonnik pokiwal głową, choć mięśnie nadal miał spięte. Uložyl ręce na udach i czekal cierpliwie na to, co mężczyzna ma mu do przekazania.

Najwyższy kaplan Rammas, stojący na czele Trybunału Stworzenia, a zarazem przeor klasztoru Mocy Stworzenia, omiół go

wzrokiem, jakby próbując ocenić, czy jest człowiekiem godnym zaufania.

Cisza przedłużała się nieznośnie i Christian zaczął mimowolnie wiercić się na zbyt małym siedzeniu. Przeor wreszcie przemówił:

– Opowiedz mi o sobie, Christianie.

Tego mnich się nie spodziewał, czemu dał wyraz, unosząc brwi ze zdziwienia. Oczekiwał raczej kary lub nagrody, być może jakiegoś polecenia, ale to? Dlaczego jego los interesował tak znaczącą osobę?

– Ja... – zaczął nieśmiało.

– Ujmę to inaczej – przerwał mu Rammas. – Interesuje mnie, co robiłeś przed wstąpieniem do zakonu. Czy to prawda, że służyłeś w królewskiej gwardii?

– Tak jest. – Christian kiwnął głową.

– W randze?

– Dziesiątnika. Wcześniej pełniłem funkcję strażnika miejskiego.

Kapłan się zamyślił, po czym w jego oczach załśniło zainteresowanie.

– Tutaj, w stolicy?

– Tak. Choć przez pewien czas służyłem także w Fanneas.

– Miasto portowe – stwierdził Rammas. – Słyszałem, że przed inwazją stróże prawa mieli tam ciężko.

– To prawda. Doki zawsze przyciągały rozmaitych rzezimieszków.

– Rozumiem... – Kapłan zrobił pauzę, jakby zastanawiając się nad czymś. – A powiedz mi, dlaczego odszedłeś z gwardii?

Christian znów unióś brwi. Był przekonany, że to powszechna wiedza. Zanim dołączył do klasztoru, musiał udzielić szczegółowych informacji o swoim poprzednim życiu. Tak poważna instytucja jak Trybunał Stworzenia z pewnością miała świadomość tego faktu.

– Okryłem się hańbą.

– Rozwiń, proszę, temat.– Mnich westchnął. Nie miał szczególnej ochoty wracać do wspomnień z przeszłości.

– Pełniąc służbę w gwardii królewskiej, nie zdołałem zawczasu rozpoznać zagrożenia ze strony najeźdźcy. Nie obroniliśmy stolicy, król zaś musiał udać się na wygnanie.

Kapłan odpowiedział od razu. Nie udawał zaskoczenia. Musiał przecież doskonale znać przeszłe wydarzenia.

– Chyba jesteś dla siebie zbyt surowy. Nie ty jeden ponosisz odpowiedzialność za porażkę. Sam król uległ opętaniu przez siły zła, natomiast armia, gwardia i niemal wszyscy poddani nie potrafili przeciwstawić się najazdowi.

– Jednak moje zaniechania doprowadziły do śmierci wielu osób. Rammas wzniósł rozłożone ręce.

– Wola Mocy Stworzenia – oznajmił i zamilkł na chwilę, udając, że odmawia modlitwę. Po chwili wznowił rozmowę: – Uważam, że nie powinieneś obarczać się tym, co nas spotkało. Wszyscy okazaliśmy się ślepi na siły, które doprowadziły Vorenau na skraj upadku. Dlatego też królowa Vadienne postanowiła utworzyć Trybunał Stworzenia. Jego nadrzędnym zadaniem jest zapewnić krajowi bezpieczeństwo i nie dopuścić do tego, by historia się powtórzyła. Zagrożenie okazało się tak silne, ponieważ ktoś skrupulatnie przygotowywał się od lat do zadania nam ostatecznego ciosu. Udało się to odwrócić jedynie dzięki bohaterskim czynom królowej, ale to nie oznacza, że zło zostało całkowicie pokonane.

Przeor pochylił się w stronę Christiana, a ten mimowolnie nieco się odsunął. Starzec spojrział mu w oczy.

– Wróg nie śpi. Mam poważne podstawy, by sądzić, że przygotowuje się do kolejnej wojny, znacznie groźniejszej niż poprzednia. Tym razem zagrożenie nie czai się poza granicami kraju.

– Co chcesz przez to powiedzieć, najwyższy kapłanie? – zapytał Christian.

Rammas wyprostował się na swoim krześle i westchnął ciężko.

– Czy słyszałeś kiedyś o Czarnej Wstędze?

Christian przechylił lekko głowę. Gdzieś już słyszał to określenie, lecz nie potrafił sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach.

– Wielu uważało, że to tylko legenda. Coś, czym straszono się dzieci. Ja jednak wiem, że jest inaczej.

– Czym jest ta Czarna Wstęga?

– Organizacją. Grupą ludzi, tfu, pogańskich pomiotów, którzy dążą do zniszczenia naszego pięknego królestwa. Kwestionują wszystko, co nam drogie i piękne. Odrzucają władzę panującej dynastii, a nade wszystko przeciwstawiają się Mocy Stworzenia. Nasza religia jest im wroga i ją również pragną unicestwić.

Najwyższy kapłan zamilkł i wpatrywał się przez chwilę w mnicha, jakby oczekując jego odpowiedzi.

– Wybacz śmiałość, najwyższy kapłanie... Skąd o tym wiemy?

Rammas wyjął coś spod stołu i przesunął po blacie w stronę Christiana.

Mężczyzna dostrzegł niewielką kartkę. Przyjrzał się jej. Był tam tylko jeden symbol. Dwie ciemne, falujące kreski, splatające się niczym...

– Czarna Wstęga...

– Nie inaczej.

– Ale... Czy to...

Rammas uniósł rękę, przerywając jego wypowiedź.

– Takich symboli znaleźliśmy już ponad tuzin. W różnych miejscach. Na papierze w kupieckich sakwach, na ścianach kamienic, a nawet w zamtuzach. Są dobrze ukryte, nigdy na widoku. Zwykle napotkać

je można w ciemnych zakamarkach, w szemranych dzielnicach. Ludzie, przy których znajdujemy ów symbol, opierają się torturom i wołą zginąć, niż podzielić się jakąkolwiek informacją. Są niezłomni.

Christian słuchał z przejęciem. Możliwe, że królestwo znów miało stanąć u progu wojny... tym razem domowej?

– Co więcej, spływają do nas raporty z innych miast. W ostatnich miesiącach symbol zaczął pojawiać się niemal w każdym zakątku Voreнау.

– Czy poza symbolem zauważono jakieś inne działania?

Rammas pokręcił głową.

– Nic ponad normę. Drobne kradzieże, przekręty nieuczciwych kupców, grzeszne występki, ale nic, czego w królestwie nie byłoby od zawsze. I to właśnie najbardziej mnie niepokoi.

– Dlaczego, najwyższy kapłanie?

– Wygląda na to, że Czarna Wstęga jest doskonale zorganizowana. Jestem pewien, że do czegoś się szykują, ale niesłuchanie trudno nam odgadnąć do czego. Nie udało nam się, jak dotąd, ustalić niczego konkretnego. Jednak ich symbol pojawia się w każdym z miast i jestem pewien, że należy spodziewać się najgorszego.

Starzec umilkł i przez chwilę siedzieli w ciszy.

Christian wpatrywał się w okno za plecami Rammasa. Spodziewał się już, czego przeor może od niego chcieć, choć myśl ta wydała mu się absurdalna.

– Powiedz mi, Christianie, dobrze znasz nasze królestwo? – Mnich wyrwał się z zamyślenia.

– Tak. Pochodzę z rodziny kupieckiej. Za młodu zjeździłem kraj wzdłuż i wszerz.

– Doskonale. Tak się bowiem składa, że mam dla ciebie specjalne zadanie.

Christian wyprostował się na stołku i spojrzął w oczy przełożonego.

– Chciałbym, żebyś zdemaskował organizację Czarnej Wstęgi. Odnalazł ich siedzibę, dotarł do prowodyrów i zameldował o tym Trybunałowi.

Mężczyzna przełknął ślinę. On...? Nowicjusz? Był wprawdzie wojskowym i strażnikiem. Czasem prowadził śledztwa przeciw pomniejszym bandytom, ale to...

– Najwyższy kapłanie... Dlaczego ja?

– Bo jesteś człowiekiem pobożnym i uczciwym. Znam dobrze twoją historię. Przyjrzałem się jej. Wypytywałem cię, gdyż chciałem usłyszeć ją od ciebie, poznać reakcję. Niemniej Trybunał prześwietlił cię na wylot. Nadajesz się do tego zadania jak mało kto.

Christianowi nie chciało się w to wierzyć. Nie uchodził wszak za nikogo szczególnego. Nie otrzymał szkolenia, jakie przewidziano choćby dla królewskich szpiegów.

Dlaczego on? Bo poświęcił się sprawie? Cechowała go pobożność i lojalność, jak powiedział Rammas. Czy na pewno chodziło tylko o to, czy kryło się za tym coś jeszcze?

Christian przypuszczał, że Trybunał miał zdecydowanie więcej wyznawców, którym powierzono podobne zadanie.

– Masz możliwość zmazać hańbę, jaką, jak sam twierdzisz, okryłeś się w przeszłości. – Przeor wyrwał go z rozmyślań.

Christian przytaknął. Postanowił, że podzieli się swymi rozterkami. Nawet jeśli zadawanie zbyt wielu pytań nie będzie zbyt dobrze odebrane przez kapłana.

– Najwyższy kapłanie, nadal nie potrafię uwierzyć, że to właśnie mnie wyznaczono do tego zadania. Śmiem twierdzić, że nie jestem jedyny. – Rammas się uśmiechnął.

– No i widzisz, Christianie. Już udowodniłeś, że dokonałem słusznego wyboru. Błyskotliwość... Kluczowa cecha, którą powinni odznaczać się nasi wysłannicy.

– A więc będzie nas więcej?

– Nie mogę potwierdzić.

– Rozumiem. – Tym razem na twarzy Christiana zagościł lekki uśmiech. – Rozumiem, że nie będziemy mieli ze sobą kontaktu? To rozsądne, prawda? Jeśli mamy wytropić tajną organizację, sami musimy działać w podobny sposób.

Rammas nieznacznie kiwnął głową, nie odpowiadając jednak wprost – pozwalał Christianowi samemu dochodzić do wniosków.

– W jaki sposób będę raportował postępy swych prac?

– Podobasz mi się. – Przeor spojrział na niego z aprobatą. – Szybko przechodzisz do rzeczy. Na początek udaj się do świątyni w Torian-syd. Od tamtejszego kapłana otrzymasz dalsze wskazówki. Wie tylko tyle, ile powinien, bądź więc ostrożny.

– O czym nie wolno mi mówić?

– Że pracujesz bezpośrednio dla mnie i że jesteś na tropie Czarnej Wstęgi. Kapłan w Torian-syd został poinformowany jedynie, że ktoś z Trybunału ma odebrać od niego raport.

– Dlaczego akurat to miasto?

– Odnaleźliśmy tam najwięcej symboli Wstęgi.

– Rozumiem.

– Dobrze. Wierzę, że przysłużysz się Trybunałowi i królestwu.

Teraz idź już.

Christian skinął głową i wstał od stołu. Gdy zmierzał ku drzwiom, Rammas odezwał się po raz ostatni. Jego głos brzmiał poważniej niż dotychczas – pobrzmiwała w nim groza.

– Nie zawieź nas.



Różne myśli kłębiły się w głowie Christiana. Wracając do klasztornej celi, rozmyślał o tym, co usłyszał od starego zakonnika.

Z jednej strony dumą napawał go fakt, że wyznaczono go do trudnego zadania, z drugiej zaś odczuwał ogromny niepokój.

Powierzona mu misja jawiła się nie tylko jako niezwykle wymagająca, ale i niejasna. Otrzymał szczątkowe informacje, a do tego ostrzeżenie, że nie będzie mógł z nikim dzielić się ani zdobytymi wiadomościami, ani celem swojej służby – wcale nie napawało go optymizmem.

Wiedział przy tym, że Trybunał powierzył rozpracowanie tajemniczej organizacji więcej niż jednemu ze swoich ludzi. Było to oczywiście logiczne. Sieć działających w ukryciu agentów, niepowiązanych ze sobą bezpośrednio, zwiększała szanse powodzenia całego przedsięwzięcia. Niestety, w razie pojawienia się okoliczności niewygodnych dla Trybunału, pojedynczy wysłannik mógł zostać poświęcony bez większych konsekwencji.

Christian zastanawiał się, czy jako pionek w niebezpiecznej grze miał w ogóle szansę odnieść sukces.

Prędko skarcił się za te myśli. Wyznaczono mu zadanie i należało się na nim skupić. Miał szansę przynieść chlubę nie tylko własnemu zakonowi, ale i królestwu. Dostał możliwość odkupienia swoich win – najpewniej ostatnią. Postanowił więc, że całkowicie odda się służbie, choćby miał przez to zginąć.

Drzwi do celi pozostawały otwarte, co w klasztorze nikogo nie dziwiło. Mimo to Christian, niegdyś śledczy, szybko zorientował się, że ktoś był tu przed nim. Ostrożnie wszedł do pomieszczenia i się rozejrzał. Na jego pryczy leżała skórzana torba, a obok niej pochwa z mieczem. Z ciekawością zajrzał do sakwy. Znalazł ciężki

mieszek, wypełniony sporą ilością królewskich monet. Przeliczył je szybko i zmarszczył czoło ze zdumienia.

Za taką sumę mógł żyć wygodnie, podróżując po całym Vorenaui przez blisko rok. Rozrzutność stała w sprzeczności z regułą zakonu i mnich wzdrygnął się na myśl o tym, co mógłby sobie kupić za taką kwotę.

Oprócz sakiewki znalazł w torbie list do kapłana Indena w Torian-sydu, opatrzony pieczęcią Trybunału, a także królewski glejt przyznający mu prawo do swobodnego poruszania się po królestwie. Zakonnik aż zagwizdał z wrażenia.

Od chwili wstąpienia królowej Vadienne I na tron w Vorenaui wiele się zmieniło. Wszyscy obywatele podróżujący między miastami musieli posiadać stosowną zgodę, którą w razie zatrzymania należało okazać królewskiemu żołnierzowi. Glejty najczęściej wydawano na określonych trasach, natomiast te umożliwiające swobodne przemieszczanie się po całym królestwie stanowiły rzadkość i rezerwowano je wyłącznie dla ważnych urzędników lub wysoko postawionych przedstawicieli Trybunału Stworzenia.

Na samym końcu Christian wziął w ręce miecz. Nie sądził, że jeszcze kiedyś będzie mu dane dobyć broni. Wprawdzie wcale tego nie pragnął, jednak chwytając rękojeść i wysuwając klingę z pochwy, poczuł przyjemne ciepło wypełniające ciało. Broń doskonale leżała w dłoni, a ostrze było lśniące i idealnie naostrzone. Nie miał w ręku tak wspaniałego oręża nawet wtedy, gdy służył w gwardii królewskiej.

– Tym ostrzem będę wykonywał wyroki Trybunału – powiedział pod nosem. – Mocy Stworzenia, prowadź mą rękę, by zawsze dosięgała twych wrogów.

Już dawno zapadła noc, więc Christian, mimo ogólnego podniecenia, postanowił, że najwyższy czas udać się na spoczynek.

Torbę i miecz schował pod łóżkiem i zastawił szafką, jakby w obawie, że gdy będzie spał, ktoś odważy się po nie sięgnąć. Nie minęło wiele czasu i zmęczone oczy zakonnika zamknęły się i zapadł w błogi sen.



Lyna kroczyła boso przez zatłoczony plac, a jej drobne stopy nieprzyjemnie zapadały się we wszechobecny błocie.

Miała na sobie poszarpaną, brudną tkaninę, założoną specjalnie po to, by nie odróżniać się od miejscowej biedoty. Potargała słomkowe włosy i dla niepoznaki wtarała w twarz trochę błota, krzywiąc się przy tym okrutnie. Było to niestety konieczne. Tego chciałby Ojciec. Choć niedługo miała wkroczyć w dorosłość, jej niski wzrost upodabniał ją do miejscowych dzieci. Upewniwszy się, że nikt nie zwraca na nią uwagi – ani na nią, ani na sztylet ukryty w fałdach materiału – ruszyła w stronę rynku.

Spodziewała się zastać tam swoją przyszłą ofiarę. W dzień targowy w mieście panował niesamowity tłok. Lyna celowo wybrała właśnie ten moment na wykonanie zadania. Liczyła na to, że w ścisku łatwiej będzie jej zniknąć, nim ktokolwiek zorientuje się, co się stało.

Wszystko dobrze przemyślała. Przeciśnie się jak najbliżej trybuny, na której zazwyczaj stał herold i obwieszczał mieszkańcom rozmaite komunikaty. W pobliżu herolda przebywał najczęściej przedstawiciel Trybunału Stworzenia, czuwając nad tym, by w ogłoszeniach nie pojawiły się przypadkiem wicherzycielskie lub heretyckie treści. Lyna nie do końca rozumiała, co znaczą te słowa, lecz dokładnie tak powiedział Ojciec.

Ojciec wiedział, co mówi.

Ojciec był dla niej dobry.

Gdy tylko znajdzie się dostatecznie blisko kapłana, wykorzysta okazję i zrobi to, do czego została powołana.

Spełni wolę Ojca.

Musiała się skupić. Mimo młodego wieku Lyna wykazywała się dużą bystrością i spostrzegawczością. Nie mogła pozwolić, by podczas ogłoszeń tłum odepchnął ją z dala od podestu. Przeciśkała się między ludźmi, nie zważając na to, że ktoś rzucał w jej stronę przekleństwem lub nawet zamachiwał się, by ją odpędzić. W ścisłu ludzie szybko o takich drobnostkach zapominali.

Opracowała też plan ucieczki. Wiedziała dokładnie, w którą stronę pobiegnie. Po wszystkich zamierzała udać się czym prędzej do dzielnicy rzemieślniczej, w dzień targowy opustoszałej. Ciasne uliczki i stojące przy nich wysokie kamienice zapewnią jej schronienie.

Dochodziło południe. Mieszkańcy wciąż przechadzali się między straganami, targując się i przekrzykując, jednak coraz więcej z nich gromadziło się już w centralnej części rynku. Wreszcie na drewniane podwyższenie wkroczyła delegacja na czele z królewskim heroldem. Towarzystwo mu dwóch uzbrojonych strażników oraz kapłan Trybunału Stworzenia, idący nieco z tyłu.

Lyna poczuła, jak włosy stają jej dęba. Była tak blisko. Musiała zachować pełne skupienie i nie dać się ponieść emocjom – należało poczekać na właściwy moment, gdy wszyscy będą mieli oczy utkwione w podeście.

Herold wyciągnął trąbkę ze skórzanego pokrowca i odegrał krótką melodię. Na rynku zrobiło się ciszej, a ludzie zaczęli zbierać się wokół trybuny. Wkrótce herold rozpoczął przemowę swoim tubalnym głosem.

– Posłuchajcie, dobrzy ludzie! W imię Mocy Stworzenia przekazuję wam, mieszkańcom Torian-syd, następujące słowa. Ucieszy

was zapewne wiadomość, że w przyszłym miesiącu w waszym mieście odbędzie się festiwal ku czci królowej, organizowany przez miejscowego zarządcę. Ze stolicy przybędzie specjalna trupa teatralna, planowany jest także turniej rycerski.

Z tłumu dały się słyszeć pojedyncze odgłosy zadowolenia.

– Pragnę was również poinformować, że przygotowania do corocznego wielkiego targu w stolicy ruszyły pełną parą. Wszyscy chętni zaproszeni są do odwiedzenia Vorenau. Opłata za handel zostanie na czas targu obniżona o połowę!

Tym razem tłum wykazał nieco więcej entuzjazmu. Wkrótce jednak umilkł.

Po dobrych wiadomościach zwykle przychodziły złe. Herold odchrząknął i wziął głęboki wdech, po czym mówił dalej. Jego głos nieco się łamał, jakby obawiał się reakcji zebranych na to, co miał im do przekazania.

– Z rozkazu królowej Vadienne Pierwszej roczny podatek zostanie podniesiony o trzy srebrne monety od gospodarstwa...

Przerwały mu buczenie i gwizdy. Herold najwyraźniej nie spodziewał się innej reakcji – czytał więc dalej, co jakiś czas nerwowo zerkając na tłum, by w razie potrzeby uchylić się przed lecącymi w jego stronę pomidorami lub jajkami.

– Jest to uzasadnione koniecznością zwiększenia nakładów na walkę z herezją, która rozpanoszyła się w królestwie. – Stojący nieopodal kapłan Trybunału wyprostował się dumnie i zaplótł ręce na piersi. Tłum był coraz bardziej niespokojny.

– Hańba! – krzyczeli ludzie.

– Złodziejstwo!

– Dopiero co podnosili!

– Co ja bachorom do gęby włożę?

W stronę herolda zaczęły rzeczywiście lecieć rozmaite warzywa i drobne przedmioty.

Lyna uznała, że lepszej okazji nie będzie. Wyjęła sztylet i wycelowawszy spokojnie, cisnęła nim prosto w stojącego za heroldem kapłana.

Nóż przecinał powietrze z cichym świstem, by ostatecznie wbić się w krtań mężczyzny. Nim ktokolwiek zorientował się, co się stało, kapłan osunął się na kolana i, charcząc, próbował tamować tryskającą z gardła krew. Nikt nie zdążył mu pomóc.

Na rynku zapanował potężny chaos. Strażnicy herolda stali w osłupieniu, nie wiedząc, co robić, sam herold zaś z piskiem zeskoczył z podestu i zaczął przedzierać się przez tłum. Zebrani wrzeszczeli i rozbiegali się w różne strony, potrącając się nawzajem i przewracając rozstawione kramy. Niewiele brakowało do tragedii – ogarnięci paniką ludzie mogli zacząć tratować słabszych.

W tym zamieszaniu Lyna zwinnie przemknęła przez tłum i niepostrzeżenie zniknęła wąskimi uliczkami. Jakiś czas później opierała się o ścianę jednej z kamienic w dzielnicy rzemieślniczej, wyrównując oddech. W mieście nadal rozlegały się krzyki, lecz ona była bezpieczna.

Zrobiła to.

Wykonała zadanie.

Ojciec będzie zadowolony.

Rozdział 2



Każdego wieczoru karczma „Pod Lichym Gołębiem” przyciągała podróżnych nie tyle niezbyt fortuną nazwą, co półkami uginającymi się od rozmaitych alkoholi i zapachem ciepłej strawy, dochodzącym z kuchni.

Tutejsze jedzenie z pewnością nie zachwycałoby mieszkańców najbogatszych dzielnic stolicy, lecz niewysublimowane podniebienia strudzonych wędrowców, zmęczonych całodzienną podróżą, nie potrafiły mu się oprzeć. Dodatkowy atut zajazdu stanowiło jego położenie. Przybytek usytuowano na styku dwóch ważnych szlaków pogranicza – północ-południe oraz wschód-zachód.

Jadąc przez Vorenau z krain południowych, można było wprawdzie wybrać kilka innych dróg, jednak ta zdecydowanie przewyższała pozostałe prostotą: prowadziła przez płaskie równiny, omijała mokradła, a na trasie napotykało się strażnice obsadzone przez królewskie wojsko – zjawisko rzadkie w tej części świata. Ze wschodu na zachód natomiast ukształtowanie terenu wymuszało w zasadzie tylko jedną drogę.

Właściciel zajazdu nie mógł więc narzekać na brak klientów, zwłaszcza od czasu, gdy sytuacja na rubieżach królestwa uspokoiła się i mieszkańcom nie zagrażały już najazdy dzikich

barbarzyńców. Jedyne, z czym musiał się liczyć, to sporadyczne łupieżcze bandy, które od czasu do czasu zapuszczały się w nieco bardziej zaludnione części regionu.

Dzień chylił się ku końcowi. Słońce zachodziło leniwie za trawiastym horyzontem. Zerwał się lekki wiatr, trzaskając nieprzyjemnie otwartymi oknami. Z uwagi na ciepłą porę roku wewnątrz panował zaduch, a karaluchy chętnie penetrowały pomieszczenie, nie zważając na siedzących przy stołach gości.

– Jeszcze piwa! – krzyknął ktoś do pызatej Anusi.

Dziewczyna uwijała się między stołami z gracją jucznego osła, niechęć ocierając się o zajądających się grochem i kaszą konsumentów. Robiła, co mogła, jednak liczba zamówień zdecydowanie przerastała jej zdolności zapamiętywania, więc musiała wysłuchiwać niewybrednych obelg od zniecierpliwionych gości.

W pewnym momencie karczemny gwar przerwało skrzyknięcie otwieranych drzwi, w których stanęła barczysta postać. Mężczyzna zadbał o to, by narobić odpowiednio dużo hałasu, przykuwając uwagę niemal wszystkich obecnych. Wysoki, umięśniony brodac, wystrojony niczym na świąteczny targ w stolicy, zakręcił zawadiacko grubym wąsem i huknął:

– Gospodarzu! Miejsce dla mnie i dla moich towarzyszy! Największy stół, jaki macie! Dawać wszystko, co dziś serwuje „Gołąb”! I oby nie było liche!

Zza jego pleców dały się słyszeć rubaszne śmiechy rzeczonych towarzyszy. W mgnieniu oka na parkiecie przed wejściem stanęło sześciu roślących drabów.

Szynkarz, pulchny, łysiejący mężczyzna, podniósł wzrok znad przecieranego kufła i natychmiast odstawił go na ladę. Skinął głową na Anusię, dając jej do zrozumienia, by zignorowała wszystkie zamówienia i czym prędzej zajęła się przygotowaniem stołu pośrodku izby.

Anusia ożywiła się i na miękkich nogach podeszła do ławy, wycierając ją śmierzdzącą szmatą.

Nim skończyła, nowo przybyli niespiesznie zajmowali miejsca. Ociągali się przy tym strasznie, gdyż każdy z nich wykazywał nadmierne zainteresowanie kelnerką.

Kobieta, choć przyzwyczajona do lubieżnych spojrzeń i gestów, które notorycznie kierowali w jej stronę goście karczmy, poczuła się nieswojo.

Jeden z mężczyzn posunął się zdecydowanie za daleko i dziarskim ruchem wsunął jej dłoń między nogi. Uczucie chropowatej ręki ocierającej się o wewnętrzną stronę uda przyprawiło ją o mdłości. Z całych sił odepchnęła mężczyznę i odskoczywszy, pobiegła prędko za szynkwias.

Zbóje wybuchli śmiechem i zasiedli wreszcie na ławach, co rusz zerkając w stronę pracownicy.

Karczmarz nie zareagował, lecz czoło zrosił mu pot. I bez zdolności wróżbiarskich dało się przewidzieć, że z tymi tutaj nie będzie miał spokojnej nocy. Bał się przede wszystkim o Anusię – łatwo było sobie wyobrazić, jakie pomysły mogły przyjść do głowy takim drabom, zwłaszcza po kilku kuflach miodu.

Minęło trochę czasu, zanim przygotowano strawę dla przybyszów. Właściciel postanowił samodzielnie obsłużyć ich stół, prosząc jednocześnie Anusię, by pozostałych gości obsługiwała jak zwykle, tych zaś omijała jak najszerszym łukiem.

Głodni zbóje – bo patrząc na ich wygląd, trudno było przypuszczać, by trudnili się wypasem bydła, rolnictwem lub jakąkolwiek inną uczciwą profesją – początkowo nie zwrócili na to uwagi. Zajęli się pożeraniem świeżych serów, bochenków chleba i kawałków szynki, które zaserwował im karczmarz.

Gdy właściciel zaczął żywić nadzieję, że najedzeni przybysze nieco się uspokoiłi i być może skłonni będą odstąpić od sprawiania

problemów, herszt bandy strącił kufel z miodem tak, że rozbił się o podłogę z głośnym trzaskiem. Nie próbował nawet udawać, że zrobił to przez przypadek.

– Karczmarz! – krzyknął zachrypniętym głosem, po czym głośno beknął. – Trzeba tu posprzątać! Niechaj przyjdzie ta dziewczucha, a jeszcze ze dwa kufle przyniesie. I to na twój koszt!

Właściciel westchnął i wziął głęboki oddech, próbując się uspokoić. Ciało odmawiało mu posłuszeństwa – nie był w stanie powstrzymać drżenia rąk. Strach coraz silniej przejmował nad nim kontrolę. Widział broń przy pasach mężczyzn. Długie miecze, toporki do rzucania, sztylety... cały arsenał śmiertelnych narzędzi. Ponadto twarze kilku z nich zdobiły blizny, z pewnością odniesione w walce. Ewidentnie nie miał do czynienia ze zgrają zwykłych rzezimieszków, od których roiło się na traktach pogranicza – mocnych w gębie, nieskorych jednak do udziału w prawdziwych, krwawych awanturach. Z tymi tutaj nie było żartów. Musiał za wszelką cenę ochronić przed nimi Anusię. Dziewczyna nie grzeszyła intelektem, ale sprawdzała się jako solidna pracownica i po prostu dobry człowiek.

– Na co, kurwa, czekasz? – warknął drab.

– Już, panie – odparł karczmarz, unosząc ręce w uspokajającym geście. Głos mu się łamał. Dłonie trzęsły się coraz bardziej, gdy nalewał miód do kufli. Postanowił przynieść ich więcej. – Proszę, panie. Na mój koszt, za to, że musieliście czekać. – Postawił kufle na stole, po czym chwycił szczotkę i zaczął nerwowo sprzątać skorupy rozbitego naczynia.

Gdy się nachylał, krople potu pojawiły się na jego plecach i zaczęły nieprzyjemnie spływać coraz niżej. Nagle usłyszał, że jeden z mężczyzn – ten, co rozbił kufel – wstaje, i natychmiast poczuł za sobą jego obecność. Silne dłonie chwyciły go za bark

i odwróciły ku sobie. Patrzył teraz w oczy potężnego łachudry i czuł jego śmierzdzący oddech.

– Ty chyba jesteś głuchy, co? – zapytał tamten, przymykając powieki i zaciskając coraz mocniej dłoń na ramieniu karczmarza. – Powiedziałem, że sprzątać ma dziewczka.

– Co się czepiasz, Kazan – rzucił jeden z siedzących przy stole bandytów. – Ten tutaj też ma cycki! – Ryknęli śmiechem.

Kazan się nie zaśmiał. Zamiast tego wyszczerzył zęby i z całej siły walnął karczmarza czołem w nos. Szynkarz upadł i chwycił się za zakrwawioną twarz, jęcząc z bólu.

W karczmie zapanowała nagle grobowa cisza, przerywana jedynie wyciem leżącego na podłodze właściciela. Kazan minął go i dziarskim krokiem skierował się w stronę Anusi. Kompani zerwali się z ław i ruszyli za nim.

Anusia krzątała się przy jednym ze stołów, udając, że nie zauważa idących ku niej mężczyzn. Gdy Kazan znalazł się ledwie pół kroku od niej, odwróciła się i spojrzała na niego. W jej oczach widać było przerażenie.

Mężczyzna szybkim ruchem złapał ją za gardło i przyciągnął do siebie.

– Powinnaś się cieszyć – wycharczał lubieżnie. – Dostąpisz dziś zaszczytu zadowalania Kazana i jego słynnej Bandy Blizn!

Anusia krzyknęła, jednak mężczyzna pchnął ją na ścianę i zaczęła obłapiać jej obfite piersi. Usłyszał jedynie świst lecącego ostrza, po czym wyprężył się jak struna. Przeszywający ból rozszedł się od łopatk.

– Co, do kurwy?!

Wypuścił Anusie, a ta osunęła się na podłogę, kuląc ze strachu.

Członkowie bandy odwrócili się natychmiast ku miejscu, z którego przyleciał nóż, i jednocześnie sięgnęli po broń.

Na końcu sali stała kobieta, wciąż z wysuniętą dłonią. Uśmiechnęła się złowieszczo. Zza pleców wyciągnęła drugie ostrze i cisnęła w ich stronę. Sztylet wbił się w szyję jednego z drabów; ten, dławiąc się krwią, padł na podłogę, a ciałem wstrząsnęły drgawki.

– Zabić ją! – wrzasnął rozwścieczony Kazan i rzucił się, ze sztylitem nadal tkwiącym w plecach, w stronę kobiety.

Wojowniczka wyciągnęła zza pasa krótki miecz i przyjęła szermierczą pozycję, wysuwając jedną nogę lekko do tyłu i w bok.

W tym samym czasie jeden z biegnących na nią zbójów zawył z bólu – jego pierś przebiło ostrze miecza. Spojrzał z przerażeniem na wystającą z ciała stal. Rękojeść trzymał stojący za nim młody mężczyzna. Z nienawiścią w oczach przekręcił ostrze i wyciągnął je z piersi draba, kopniakiem powalając go na ziemię. Spojrzał porozumiewawczo na kobietę z mieczem – ta krótko skinęła głową. Potem rozpętało się piekło.

Młodzieniec obrócił się błyskawicznie, gdy spadał na niego cios topora, który sparował z wysiłkiem. Sala gospody, choć obszerna, miała swoje ograniczenia i sprawne manewry przychodziły z trudem. Mimo to wykonał piruet z niebywałą zwinnością i ciał w udo jednego z napastników. Krew trysnęła gwałtownie z rozciętej tętnicy, obryzgując podłogę.

Impet, z jakim atakowali członkowie Bandy Blizn, zdecydowanie osłabł. Złoczyńcy zorientowali się, że stracili już trzech towarzyszy i nie mają do czynienia z byle kim.

Mężczyzna i kobieta nie czekali, aż banda się przegrupuje – sami przystąpili do ataku. Mimo liczebnej przewagi bandyci nie mieli szans. Zwinność dwójki wojowników oraz ich niemałe umiejętności sprawiły, że jeden po drugim padali martwi po wymianie zaledwie kilku ciosów.

Niedługo potem Kazan stał sam, trzymając w trzęsącej się dłoni miecz. Dyszał ciężko, ból w plecach doskwierał mu coraz bardziej, a widok kompanów leżących w kałużach krwi odbierał mu resztki pewności siebie.

– Oszczędźcie, panie...

Mężczyzna z mieczem nie oszczędził.

Sprawnie wytrącił broń z dłoni Kazana, po czym jednym ruchem poderżnął mu gardło. Umierający zaczął charczeć tak przeraźliwie, że nawet kulącą się w kącie Anusię ten dźwięk przyprowadził o dreszcze. Gdy jednak ciało bezwładnie osunęło się na podłogę, w całej karczmie zapanowała martwa cisza. Po chwili, gdy dwójka wojowników schowała miecze do pochew, dały się słyszeć pojedyncze, pełne ulgi oddechy. Klienci, którzy wcześniej szukali schronienia przed krwawą jatką, zaczęli powoli wychodzić spod stołów.

Zabójca Kazana wrócił na środek sali i nachylił się nad karczmarzem. Ten, wciąż trzymając się za zakrwawioną twarz i krzywiąc z bólu, wzdrygnął się na widok wojownika.

– Nie bój się – powiedział zaskakująco spokojnym głosem i wyciągnął rękę do szynkarza. Pomógł mu wstać, po czym pospieszył na zaplecze i wrócił po chwili ze zmoczoną szmatką. – Przyłóż do twarzy.

– Dziękuję, panie... – wysapał z trudem karczmarz, z nieco większą ufnością patrząc na nieznajomego.

– Dardan – przedstawił się wojownik. – Dardan de Brandt.

Brwi karczmarza ściągnęły się w zamyśleniu, jakby nazwisko obilo mu się już kiedyś o uszy. Ponieważ pamięć zawiodła, skinął głową z uznaniem.

– Uratowaliście nas, panie de Brandt. Uratowaliście naszą Anusię. Jesteśmy wdzięczni. – W tym czasie towarzyszka Dardana nachylała się nad wciąż kulącą się pod ścianą kobietą.

– Chodź, pomogę ci wstać. Potem pójdziesz się obmyć.

Anusia trzęsła się i patrzyła z przerażeniem na wybawicielkę. Wprawdzie nieznajoma uratowała ją przed niechybnym gwałtem, lecz chwilę potem – wraz z partnerem – zamieniła gospodę w krwawy plac bitwy.

– Jestem Kaia, a ty?

– Anusia.

– Piękne imię. – Kaia uśmiechała się ciepło, co nieco uspokoiło pracownicę.

– Jesteś pani... rycerką? – spytała Anusia, najwyraźniej nie znajdując lepszego słowa na określenie profesji Kai. „Rycerka” szczerze się zaśmiała.

– Tak... możesz mnie tak nazywać, nawet mi się podoba.

– Ja... – wymamrotała Anusia – ...dziękuję.

– Nie musisz mi dziękować, kochana. Nikt nie ma prawa do niczego cię zmuszać, rozumiesz? – Anusia spuściła wzrok. – Rozumiesz? – powtórzyła Kaia. Pokiwała głową. Wojownicza przytuliła mocno dziewczynę, która odwzajemniła uścisk. Z jej oczu pociekły łzy.

Gdy Dardan pomagał szynkarzowi, nieśmiało podszedł do nich jeden z gości.

– Wybaczcie śmiałość, panie, ale... jakże to tak mordować? Kilka osób pokiwało głowami z aprobatą. Inni zaprotestowali.

– Co ty opowiadasz?! – krzyknął ktoś z tyłu. – To były wyjątkowe menty!

Mężczyzna speszył się, jednak wciąż wpatrywał się w Dardana, oczekując odpowiedzi.

Ten milczał, skupiając się na opatrywaniu karczmarza.

W sali zapanował rosgardiasz i atmosfera robiła się coraz bardziej nieprzyjemna. Wtem jeden z gości, starszy mężczyzna

z wyraźną nadwagą, podniósł się od stołu. Odchrząknął i spojrział na zebranych. Najwyraźniej cieszył się wśród nich poważaniem, gdyż zwrócili wzrok w jego kierunku, czekając na słowa. W pomieszczeniu zapanowała cisza.

– Głupcy! – odezwał się głosem zaskakująco doniosłym, jak na swój wiek. – Czy nie widzicie, że ten tu młodzieniec nas ocalił? – Odpowiedziały mu zarówno pomruki aprobaty, jak i buczenie nielicznych sceptyków. Starzec nie zrażał się i ciągnął dalej: – Czy nie słyszeliście, co ostatnio wydarzyło się w Rudce? Nieco ponad miesiąc temu mieszkańcy zostali ograbieni z niemal całego dobytku, a co bardziej odważni... zabici! Dzieci pozbawiono ojców, kobiety zgwałcono. Kto tego dokonał? – Mężczyzna wskazał ręką na leżące na podłodze zwłoki. – Ci tutaj, bandyci spod znaku Blizny i hersztujący im Kazan.

– Na pohybel! – rzucił ktoś zza jednego ze stołów.

– O to, to! – zgodził się starzec. – Musielibyście chyba być ślepi i głusi, żeby nie dostrzec, co chcieli zrobić szacownej pannie Anusi, która z taką gracją podaje nam strawę i napitek!

– Prawda!

Mężczyzna przerwał na chwilę, wyraźnie zadowolony, że zdobył przychyłność zdecydowanej większości zebranych.

– Wiedźcie więc, iż spotkało nas prawdziwe szczęście, że ci dzielni wojownicy znaleźli się we właściwym miejscu o właściwym czasie. – Tym razem odpowiedziały mu niemal wyłącznie potaknięcia. – A i zaszczyt wielki! – ciągnął starzec. – Wszakże to nie byle kto nas uratował, a sam Dardan de Brandt, bohater pogranicza.

Ludzie zaczęli wzdychać ze zdumienia.

– A tak! Dardan! Ten sam, co niejedną wieś i niejedną gospodę

od ucisku grasantów uchronił. Niejedno życie uratował przed zagładą. A wraz z nim jego czcigodna towarzyszka Kaia! O niej także legendy już krążą po naszym umęczonym pograniczu.

Dardan zerknął ukradkiem w stronę Kai, która – odprowadziwszy Anusię na zaplecze – szła w jego kierunku i mimo starań nie mogła ukryć rumieńca na twarzy.

– Paniczu de Brandt... – zwrócił się doń karczmarz, ale Dardan uciszył go gestem ręki.

– Nic nie mów, odpoczywaj.

– Nie bądźcie więc prostakami, tylko podziękujcie zacnemu rycerzowi, że raczył odwiedzić dziś naszą gospodę i uchronić biednych ludzi ode złego.

– Zaraz zaczną ci bić pokłony – szepnęła Kaia do swego partnera.

– Wiem... – burknął pod nosem. – Dlatego musimy stąd iść, i to czym prędzej.

– Ech... – westchnęła. – Miałam nadzieję, że wreszcie zjemy coś porządnego i posiedzimy w cieple...

– Innym razem – uciał Dardan. Wstał i skierował się do wyjścia, ignorując gości; niektórzy wstawali już zza stołów, wodzili za nim wzrokiem i najwyraźniej pragnęli osobiście podziękować swemu wybawcy. Kaia podążyła w ślad za nim.



Ognisko rozpalili dopiero głęboką nocą, gdy odnaleźli osobliwą formację skalną – dość obszerną, by zapewnić choć odrobinę osłony przed ewentualnym deszczem, i zarazem leżącą z dala od uczęszczanego szlaku. Przywiązane do drzewa konie stały spokojnie, skubiąc trawę i prychnając od czasu do czasu. Noc była chłodna, siedzieli więc blisko ognia, przytuleni do siebie, owinięci ciasno

w podróżne koce. Przebyli dziś długą drogę, podążając za Kazanem i Bandą Blizn, a zwieńczyła ją rzeź urządzona w karczmie. Mimo to długo jeszcze nie mogli zasnąć. Adrenalina wywołana krwawą potyczką nie chciała ich opuścić.

– Sławny jesteś... – zagadnęła Kaia, gdy zdała sobie sprawę, że sen nie przychodzi i nie ma sensu nawet się kłaść. Jeszcze nie.

Dardan odpowiedział jedynie cichym burknięciem.

– Co cię trapi? – zapytała, widząc, że ogarnął go ponury nastrój.

W odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Wyrzuty sumienia? – zagadnęła.

Tym razem spojrzął na nią pytającym wzrokiem.

– Z powodu tych gnid? Chyba żartujesz... – odpowiedział.

– Więc o co chodzi? – Nie dawała za wygraną. – Sprawiliśmy dziś światu niemały prezent, pozbywając się tych zwyrodniałców...

– Tak... – Dardan kiwnął głową, jednak jego myśli wyraźnie błędziły w zupełnie innym kierunku. Wpatrywał się w patyk, którym grzebał w żarzących się polanach.

Kaia przysunęła się i oparła głowę na jego ramieniu.

– Nie rozmawiasz ze mną... – powiedziała ciszej, z nutą przygnębienia.

De Brandt zareagował wreszcie nieco cieplej i objął ją.

– Zastanawiam się, czy to, co robimy, ma sens.

Podniosła głowę i uniosła brwi.

– Dlaczego?

Nie odpowiedział od razu. Przeniósł wzrok na rozgwieżdżone niebo. Tutaj, nad pograniczem, konstelacje były wyraźnie widoczne, tworząc zapierający dech widok.

– Jest ich coraz więcej. Z każdą rozbitą bandą przychodzą dwie następne. Coś złego dzieje się z tym krajem...

Kaia przez chwilę rozważała jego słowa. Obawiała się, wokół

czego mogły krążyć jego myśli.

Dawno temu Dardan mógł wybrać inną drogę – zostać królem, rządzić Vorenu u boku pięknej Vadienne, siedzieć w bogato zdobionych komnatach stołecznego zamku, a nie na zimnej skale gdzieś na rubieżach.

Wtedy wybrał inne życie.

Wybrał ją.

Przez wiele miesięcy cieszyli się tą wolnością, podążając tam, gdzie zaprowadził ich ślepy los. Stopniowo jednak coś zaczęło się zmieniać... On się zmieniał i Kai nie podobało się to, jaki się stawał. Chociaż – czy tak naprawdę kiedykolwiek prawdziwie go poznała?

Od kiedy postanowili przemierzać świat, niosąc pomoc słabszym i oczyszczając kraj z bandytów pokroju Kazana, wydawało się, że wreszcie odnaleźli cel. Dardan oddał się temu zadaniu bez reszty. Ona zresztą z początku dorównywała mu zaangażowaniem. Z czasem jednak w jej sercu zaczęły pojawiać się wątpliwości. Czy naprawdę chciała spędzić całe życie w siodle i z mieczem w dłoni?

– Nic nie mówisz... – wyrwał ją z zamyślenia Dardan. – Nie dostrzegasz tego samego?

– Wybacz, Dardanie, ja po prostu... – zająknęła się.

– O co chodzi? – Zmarszczył brwi i obrócił głowę w jej stronę.

– Zagrajmy w grę, dobrze? Ja powiem ci wprost, co myślę, a ty się na mnie nie obrazisz. Co ty na to?

De Brandt się uśmiechnął. Stanowiło miłą odmianę w obliczu jego ponurego nastroju.

– Niech będzie – zachęcił ją, by wyrzuciła z siebie to, co ją trapiło.

Przez chwilę zastanawiała się, czy powinna go tym zadrećcać, wreszcie jednak stwierdziła, że spróbuje. Dotąd zawsze mogli liczyć na wzajemną szczerość.

– Myślisz czasem o niej?

– O kim? – zdumiał się de Brandt.

– Dobrze wiesz... – Kaia zdawała się lekko zirytowana. – O królowej Vadienne. Twojej niedoszłej żonie.

Dardan uniósł brwi. Najwyraźniej nie spodziewał się takiego pytania. Po chwili zdziwienie ustąpiło wybuchowi śmiechu.

– Czy ty jesteś zazdrosna? – mówił, tłumiąc rozbawienie i ocierając łzy, które napłynęły mu do oczu.

Kaia wywróciła oczami. Jej nie było do śmiechu.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi...

– Oświeć mnie, nie czytam ci w myślach.

Zacisnęła mocno pięść, jej knykcie zbieleły. Coraz trudniej się z nim rozmawiało.

– Chodzi mi o to, czy nie żałujesz podjętej decyzji. Mogłeś być królem Vorenau! Siedzieć w zamku i rządzić królestwem, z piękną żoną u boku. Zamiast tego trzęsiesz się z zimna gdzieś na końcu świata.

– To nie jest koniec świata – uśmiechnął się Dardan. – Jesteśmy na trakcie ze wschodu na zachód, pomiędzy Zielonym Rogiem a Hurmann. Gdybyśmy pojechali w tamtą stronę... – Uniósł dłoń, wskazując kierunek, ale Kaia przerwała mu, szturchając go w bok.

– Aua! – Dardan udał, że zabolalo.

– Odpowiedz mi. Proszę. – Kobiecie wciąż nie było do śmiechu.

De Brandt westchnął, po czym ujął jej dłonie i spojrzał jej głęboko w oczy. Nie dostrzegła w nich fałszu – tylko przeblysł dawnego Dardana.

– Kaia – zaczął, a po jej ciele rozlało się przyjemne ciepło. – Wybrałem to życie. Ciebie. Nie żałuję. Drugi raz postąpiłbym tak samo. Królewskie komnaty nie są dla mnie.

Skinęła głową.

– A jednak coś cię trapi... – wyszeptała łagodnie. Jego dotyk ją uspokajał. Kto by pomyślał, że stanie się taka miękka... To chyba starość.

– Tak – odpowiedział Dardan. – Nie potrafię tego wytłumaczyć. Martwię się o królestwo. Czuję, że coś jest nie w porządku, ale nie wiem, co ani skąd to uczucie.

– Znowu masz sny?

Pokiwał głową.

– Opowiesz?

– Tak. Ale nie dzisiaj. Chodźmy już spać.

Rozdział 3



Christian podróżował samotnie, nie licząc kasztanowej klaczy wydanej mu w klasztorze. Choć opuścił siedzibę zakonu o świcie, mnisi zdążyli już rozproszyć się po dziedzińcach i korytarzach, pochłonięci rutyną porannych prac. Większość spoglądała na niego z zaciekawieniem – uwagę przyciągał przede wszystkim schowany w pochwie miecz, przytroczony do końskich juków. Poza nim zabrał jedynie niewielką torbę. Żywot zakonnika, a wcześniej żołnierza, przyzwyczaił go do nieprzywiązywania się do luksusów i skromny bagaż wystarczał mu w zupełności.

Pogoda okazała się łaskawa: promienie słońca ogrzewały trakt, a skórzana kurtka na prostym żołnierskim stroju wystarczała, by odeprzeć poranny chłód. Zrezygnował z habitu – taki strój wyjątkowo źle sprawdzał się podczas jazdy konnej.

Christian czuł ekscytację. Wiatr omiatający twarz przypominał mu czasy, gdy wyruszał na wojenne wyprawy albo wypełniał misje z rozkazu króla. Tym razem również miał poczucie, że realizuje coś ważnego. Wierzył, że jego czyny przysłużą się królestwu.

Wspinając się po schodach wieży na spotkanie z przeorem Rammasem, ogarniał go niepokój. Teraz, kiedy ruszał przed siebie z mieczem przypiętym do juków, miał pewność, że podąża

właściwą drogą. Życie wreszcie znów nabrało sensu, a nowe zadanie wyznaczyło mu wyraźny cel.

Nie mógł zawieść.

Nie tym razem.

Przemierzając kraj, Christian nieco zdziwił się tym, jak mało ludzi mijał po drodze. Trakt wydawał się opustoszały – brakowało kupców, rolników i zwykłych włóczęgów, w czasach jego młodości stanowiących stały element krajobrazu. Przez cały dzień minął może kilka osób, podróżujących w ciszy i z wyraźną ostrożnością. Gdy ich mijał, widział w ich oczach napięcie. Niektórzy odruchowo sięgali w stronę broni, którą mieli przy sobie.

Mnich dziwił się temu zachowaniu, bo Vorenau, jakie zapamiętał z czasów służby w armii i gwardii królewskiej, uchodziło raczej za miejsce bezpieczne. Oczywiście nie dało się całkowicie wypłenić przemocy i ludzka krzywda pojawiała się w wielu zakątkach kraju, lecz częściej trakt były z reguły spokojne. Skąd więc ta nieufność i strach u podróżnych?

Cóż, Christian sądził, że to przez inwazję. Wypadki sprzed miesięcy zmieniły wiele i nie chodziło przecież jedynie o to, kto zasiadał na tronie. Ludzie nie zapomnieli, że całe wsie palono, a poddanych króla wyrzynano setkami. Na czas najazdu kraj niemal całkowicie opustoszał – jedynie odległe nadmorskie miejscowości i górskie miasta uchodziły za względnie bezpieczne.

Niemniej jednak inwazja należała do przeszłości. Dzięki bohaterstwu królowej Vadienne Vorenau było teraz spokojnym miejscem. Najwyraźniej nie wszyscy jeszcze się o tym przekonali, ale Christian miał przecucie, że to tylko kwestia czasu. Nie tylko kraj cieszył się wolnością od zagrożeń – w jego ocenie stał się po prostu lepszy. Utworzenie Trybunału Stworzenia oraz nacisk na krzewienie wiary w Moc Stworzenia musiały wreszcie dać

pożądany efekt. Vorenau zdawało się wręcz skazane na świetlaną przyszłość. Należało jedynie trochę poczekać.

Podróżował bez przerwy aż do późnego popołudnia i odczuwał już dotkliwe zmęczenie. Jego koń, najwyraźniej równie wyczerpany, od pewnego czasu poruszał się wolniej i nie reagował na polecenia. Gdy więc zakonnik dojrzał na drodze parę starszych ludzi pochylających się nad wykojejonym wozem, z ulgą zatrzymał się przy nich.

Siwowłosa mężczyzna zauważył go od razu i skłonił się nieznacznie. W jego oczach Christian dostrzegł nadzieję przemieszaną z nieufnością wobec obcego jeźdźca. Rękojeść miecza wystająca z juków kasztanki z pewnością budziła w kmieciu niepokój. Towarzysząca mu kobieta również spojrzała na Christiana i odruchowo cofnęła się o krok, przywierając plecami do burty wozu, jakby to miało zapewnić jej choć odrobinę bezpieczeństwa.

– Nie bójcie się, dobrzy ludzie – powiedział, wyczuwając ich strach. – Widzę, żeście w potrzebie. – Nieznacznym ruchem głowy wskazał wóz i koło, które spadło z osi i leżało nieopodal w błocie.

– Prawda, panie... – odpowiedział starzec, zdając sobie najwyraźniej sprawę, że nie sposób ukryć tego, co stało się z ich pojazdem. – Ja, choć całe życie na roli robiłem, stary już jestem i wozu nie podniosę. Moja małżonka zaś, choć zaradna bardzo, też tyle siły nie ma.

Christian uśmiechnął się i powoli, by nie wzbudzać niepotrzebnego zamieszania, zsiadł z konia. Kasztanka prychnęła z ulgą, za co otrzymała pochwałę w postaci pogłaskania po bujnej grzywie.

– Pozwólcie... – zbliżył się do nich. Nie uszło jego uwadze nagle spięcie mięśni u chłopca. Mężczyzna, choć wiekowy, nadal odznaczał się tężyzną.

Zakonnik przez cały czas starał się zachowywać pogodny wyraz twarzy.

– Czy jeśli spróbuję podnieść wóz, dacie radę nałożyć koło na oś? – zapytał rzeczowo.

Spojrzeni po sobie i pokiwali głowami.

Christian zakasał rękawy i minął ich. Kucnął przy bryczce i złapał za jej brzeg. Z niemalym trudem uniósł róg wozu i przytrzymał go na tyle długo, by chłop, z pomocą żony, wcisnął obite żelazem drewniane koło na miejsce. Koń zaprzęgnięty do pojazdu zarżał tryumfalnie.

Zakonnik otrzepał ręce i rozprostował kręgosłup, w którym odczuwał już silny ból.

– Serdeczne dzięki, dobry panie – powiedział chłop, wyraźnie uradowany. Christian uściskał wyciągniętą ku niemu ubłoconą dłoń, po czym odpowiedział lekkim ukłonem na uśmiech kobiety.

Ta, jakby nagle o czymś sobie przypomniała, sięgnęła do jednego z worków leżących na wozie. Wyciągnęła z niego trzy soczyste jabłka i podała swemu wybawicielowi.

Christian wahał się, jednak żona chłopca posłała mu spojrzenie pełne cichej determinacji.

– Weźcie, panie. Widzę, żeście znużeni podróżą.

Sklonił się, przyjmując dar. Ślina natychmiast napłynęła mu do ust – zdał sobie bowiem sprawę, że od świtu nie miał w ustach niczego poza wodą.

Chłop chyba również dostrzegł jego zmęczenie, gdyż zaproponował, by usiadł na wozie i zjadł jabłka.

– Chwila odpoczynku dobrze wam zrobi, panie.

– Nie chciałbym wam przeszkadzać. Przez ten wypadek straciliście pewnie sporo czasu.

Starzec machnął ręką.

– Do naszej wioski już niedaleko. Prawie całą drogę przejechaliliśmy i akurat na koniec takie nieszczęście nas spotkało.

Kobieta przytaknęła.

– Dobrze, żeście przejeżdżali, panie. I zechcieliście nam pomóc.

Christian wgrzyzał się już w jabłko. Było przepyszne. Po niemal całym dniu drogi żołądek wręcz rozpaczliwie domagał się czegoś pożywneho. Odpowiedział dopiero po chwili.

– To czysta przyjemność pomóc dobrym ludziom.

Mężczyzna posmutniał.

– Ano widzicie, panie, ostatnio takie czasy, że raczej z rzadka spotyka się kogoś, kto w potrzebie pomocy udzieli. Zapłaty nie żądając...

Para znów wymieniła spojrzenia. Christian natychmiast wy-czuł, o co może chodzić wieśniakom.

– Ależ ja otrzymałem zapłatę! – uniósł ogryzek jabłka. – I to lepszą, niż mógłbym sobie wymarzyć.

Kobieta posłała mu serdeczny uśmiech.

– Pokazujecie, panie, że nie przystajecie do tych czasów. Życzliwych ludzi ostatnio jak na lekarstwo.

Christian zmarszczył brwi, lecz szybko przybrał pogodny wyraz twarzy, nie chcąc dać do zrozumienia swym niespodziewanym towarzyszom, że ich słowa go niepokoją. Wydały mu się zaskakujące. Gdyby padły pod koniec rządów króla Ruddabarda IV, gdy kraj płądrowali barbarzyńcy, mógłby się z nimi zgodzić. Zagrożenie dawno jednak minęło, a królowa Vadienne przywróciła pokój w królestwie.

– Wybaczcie zuchwałość, dobrzy ludzie, ale o jakich czasach mówicie? Dlaczegoż to tak wiele w was nieufności?

Kobieta prychnęła cicho, a mężczyzna wyraźnie się skrzywił. Zwlekali z odpowiedzią, najwyraźniej zastanawiając się, czy mogą pozwolić sobie przy nim na szczerość. Zauważył to.

– Bez obaw. Mówcie swobodnie, jeśli chcecie...

– Bać to my się nie boimy, panie, bo widzimy, żeś dobry człek. Jeno zastanawiamy się, w jakich krainach musiałeś bywać ostatnimi czasy, skoro nie dostrzegłeś, co się tu u nas dzieje. Jedziecie, panie, ze stolicy?

– Ze stolicy.

Starzec pokiwał głową, jakby to wiele wyjaśniało.

– Tam może inne życie... Choć i od stołecznych kupców, którzy czasem odwiedzają naszą wieś, różne dochodzą słuchy.

Christian milczał, licząc na to, że jeśli nie przerwie mężczyźnie, ten będzie kontynuował. Nie pomylił się.

– Tak u nas, jak i tam, bieda jest okrutna. Podatki, co to je zarządca nakłada, coraz wyższe. Ledwo już mogę się wyżywić z tego, co ziemia oddaje. Straży na gościńcach mniej niż kiedyś. Strach głównym traktem jechać. Więc i my hazard uprawiamy, jadąc z pełnym wozem, bo zbójów na drogach co nie miara.

– Dlatego takeśmy się krzywo patrzyli z początku – dodała kobieta. – Przepraszamy.

Christian machnął ręką, lecz nic nie powiedział, pozwalając chłopu dokończyć.

– Kiedyś znać było z daleka, że człowiek złych zamiarów nie ma. Jakoś tak wszyscy w pokoju u nas żyli. Wiadomo, że czasem do zwad jakich dochodziło, kiedy się chłopcy na majdanie pokłóciły o jakieś morgi albo na czyimś weselu. Ale teraz każdy na każdego krzywo patrzy.

– A to dlaczego? – Christian nie wytrzymał i musiał zadać to pytanie, lecz natychmiast skarcił się w duchu. Nie chciał być nieuprzejmy, ale przede wszystkim czuł, że musi usłyszeć od nich jak najwięcej. Koniec końców działał jako agent Trybunału Stworzenia.

– Trybunał Stworzenia, mój panie. Oni temu winni. – Chłop ściszył głos, jakby obawiał się, że ktoś postronny go usłyszy, co w praktyce okazało się niemożliwe, zważywszy na brak żywej duszy w zasięgu wzroku.

– Co rusz przysyłają tu swoich oprawców, co to niby z natchnienia samej Mocy Stworzenia działają. Który chłop coś przeskrobie albo zapłacić podatku nie chce, lub nie ma z czego, zaraz w kajdany go zakuwają i wywożą, nie wiadomo dokąd. Zwykle taki przepada na zawsze albo wraca okaleczony.

Christian wzdrygnął się mimowolnie.

– Jeden na drugiego donosi... – dodała kobieta smutnym głosem. – Kto by to pomyślał jeszcze parę wiosen temu. Sąsiad na sąsiada, brat na brata...

– Ano – potwierdził chłop. – My tu zawsze w zgodzie żyliśmy, a od kiedy przyjeżdżają ci bandyci w habitach... – Nie dokończył, tylko pokręcił głową z zażenowaniem.

Christian podziękował sobie w duchu, że zdecydował się na bardziej przystający do podróży ubiór. Strach pomyśleć, jak ci ludzie zareagowałyby na widok jego habitu.

– Wybaczcie, panie. Niepotrzebnie zajmujemy czas. Pewnie musicie już ruszać w drogę – uciał chłop, jakby bojąc się, że powiedział za dużo.

Jego żona podeszła do niego i nachyliła się, szepcząc mu coś na ucho. Starzec zastanawiał się przez chwilę, lecz w końcu kiwnął głową. Kobieta zwróciła się do Christiana:

– Jeśli jednak chcielibyście, panie, spędzić noc pod dachem i solidnie zjeść, jedźcie z nami. Ugościmy i noclegu nie odmówimy.

– Dobrych ludzi – powtórzył chłop – jak na lekarstwo.

Christian odmówił. Uprzejmie, ale odmówił.

Wkrótce jechał już na grzbiecie kasztanki, zostawiając wóz i parę wieśniaków za sobą.

O zmierzchu zdecydował się na nocleg. Wcześniej minął wioskę, do której najpewniej zdążyła napotkana na trakcie para – objechał ją dookoła. Nie miał ochoty na kolejne przypadkowe spotkania tego dnia. Gdy zmęczenie uniemożliwiło mu dalszą jazdę, zboczył z gościńca i znalazłszy odpowiedni zagajnik, zatrzymał się. Miejsce ledwo rzucało się w oczy z drogi, więc uznał, że może tu bezpiecznie spędzić noc. O tej porze roku było dość ciepło, więc nie widział sensu w rozpalaniu ogniska. Przywiązał konia do jednego z pobliskich grabów i rozkulbaczył go. Zdjąwszy juki z grzbietu zwierzęcia, pościelił sobie z nich wygodne poślanie.

Jabłka otrzymane od wieśniaków smakowały wysmienicie, jednak nie dostarczyły mu zbyt wiele energii, więc z radością sięgnął po plastry suszonej wołowiny – miał ich spory zapas. Popił mięso winem.

Mimo całkiem dobrej pogody nakrył się kocem. To, w połączeniu z zakonnym winem, przyjemnie ogrzało jego ciało. Starał się nie myśleć o tym, co usłyszał od napotkanych na drodze wieśniaków. Zmęczenie wzięło górę. Zasnął.

Rozdział 4



Bywały dni, kiedy Kaia i Dardan nie zamieniali ze sobą ani słowa – nie dlatego, że wcześniej doszło między nimi do kłótni. Po prostu ich relacja układała się na tyle swobodnie, że czasem mogli zrezygnować z ciągłej rozmowy. Zwłaszcza że, przemierzając pogranicze, spędzali ze sobą mnóstwo czasu i niekiedy po prostu mieli ochotę na ciszę. Tak było i tym razem. Przez niemal cały dzień nie zamienili ze sobą ani słowa. Gdy rankiem zbierali rzeczy, pakowali juki i wygaszali ogień, każde wiedziało dokładnie, co ma robić i w którym kierunku podążać. Gotowi po prostu spięli konie i ruszyli stępem na północ.

Pod wieczór dotarli do celu. Położone w niewielkiej, skrytej wśród leśnych wąwozów dolinie gospodarstwo wyglądało niepozornie, ale oboje dobrze wiedzieli, że czeka tam na nich ciepłe domowe ognisko.

Trzy w pełni murowane budynki, pokryte ceramicznym gontem, zupełnie nie przystawały do odludnej leśnej polany. Tego rodzaju domostwa częściej widywało się w szlacheckich latyfundiach Vorenu niż na dzikim pograniczu. Ich gospodarz wykazywał się wyjątkową zaradnością. Pracą własnych rąk, a także dzięki niemałej fortunie zgromadzonej w poprzednim życiu, potrafił zaadaptować tę niewielką przestrzeń tak, że przypominała

zasobny dworek. Wokół posiadłości rosły równo przycięte krzewy, drzewka owocowe ugiwały się pod ciężarem plonów, a płoty okalające zagrody imponowały masownością i solidnym wykonaniem.

Pośrodku placu, wokół którego wznosiły się zabudowania, stała studnia. Obok radośnie bawiły się najmłodsze córki właściciela. To one jako pierwsze spostrzegły dwójkę jeźdźców wyłaniających się zza wzgórza. Dziewczynki najpierw stanęły jak wryte, szybko jednak z piskiem popędziły w stronę jednego z domów, alarmując domowników. Po chwili w progu stanął postawny mężczyzna, a dzieci uczepliły się jego szat.

Gospodarz, z początku zaniepokojony, rozpromienił się, gdy zauważył, kto zbliża się do osady. Uśmiechnął się szeroko i zamachał do Dardana i Kai.

Podróżni zsiadli z koni, zostawiając broń przy jukach, po czym dziarskim krokiem ruszyli w stronę mężczyzny.

– A kogóż to moje zmęczone oczy widzą? – powitał ich rubaszny włościanin. – Czyż to nie moja ulubiona para awanturników?

– Bądź pozdrowiony, Tymonie – rzekł Dardan i wyciągnął dłoń na powitanie. Mężczyzna uścisnął ją serdecznie, lecz krótko, jakby spieszył się do Kai. Przytulił ją tak mocno, że kobieta niemal jęknęła. Było w tym przywitaniu coś czulego – jakaś niewypowiedziana, ojcowska miłość – i Dardan mimowolnie się uśmiechnął.

Tymona Hłaza, emerytowanego setnika armii królewskiej, Dardan poznał, gdy sam nosił rangę zaledwie dziesięтника. Wspólnie walczyli w czasach inwazji barbarzyńców. Hłaz był poczciwym człowiekiem – nieszczęśliwie nadawał się na bohatera pola walki, brakowało mu odwagi i brutalności. Doskonale radził sobie za to z zarządzaniem majątkiem, choć z ludźmi szło mu nieco gorzej. Niedługo po wstąpieniu królowej Vadienne na tron złożył wniosek o przejście w stan spoczynku i wraz z żoną oraz synami wyjechał

na pogranicze, by wieść spokojny żywot z dala od zgiełku królewskich komnat. Z pieniędzy uzbieranych podczas służby kupił stare, zniszczone gospodarstwo i przy wsparciu rodziny wyremontował je i doprowadził do obecnego stanu. Dardan i Kaia zobaczywszy owoce ich pracy, nie mogli się nadziwić.

Tymon imponował niezwykle gościnnością i lojalnością. Gdy napotkał przyjaciół na pograniczu, od razu zaproponował im, że ilekroć, zmęczeni wędrówką, zapragną odpoczynku, dobrego jedzenia i snu, mogą go odwiedzać. Dardan z początku nie zamierzał korzystać z zaproszenia, jednak w końcu, za namową Kai, się zjawili. Od tamtego czasu starali się gościć u Tymona przy każdej nadarzającej się okazji – czasem nie widywali go przez kilka miesięcy, bywało też tak, że zjawiali się co tydzień.

Hłaz zawsze, zgodnie z obietnicą, podejmował ich najlepiej, jak potrafił, a potrafił wiele. Jego osada stała się dla nich najbliższą namiastką domu, na jaką mogli sobie pozwolić, prowadząc taki, a nie inny tryb życia. Zwłaszcza Kaia niezwykle cieszyła się, gdy tu przyjeżdżali. Nawiązali z Tymonem relację niemal ojcowską, co, biorąc pod uwagę historię Kai i fakt, że w młodym wieku straciła rodziców, wydawało się Dardanowi całkowicie zrozumiałe.

Gdy właściciel odsunął się od Kai, zdał sobie sprawę, że jego córeczki stały z boku, nieco zdezorientowane.

– A wy co, perliczki? Nie poznałyście ciotki Kai i wuja Dardana? – zwrócił się do nich przyjaźnie.

Spojrzały na niego, po czym przeniosły wzrok na przybyszów. Oczy im rozpromieniały, a szczerbate buzie natychmiast rozjaśniły niewinne uśmiechy. Rzuciły się na nich, jakby chciały wymusić wzięcie na ręce. Dardan podniósł jedną z nich – Adełę, Kaia zaś drugą – Ionnę. Kaia była szczerze rozbawiona, na twarzy

de Brandta zaś zagościł niespodziewany rumieniec, gdy mała Adela obdarzyła go soczystym buziakiem w policzek.

– No, ale nie stójcie tak – zagaił Tymon, wiedząc, że czułe powitania mogą trwać w nieskończoność. – Zaraz Henię zawiadomię, żeście przyjechali, to wam potrawki nagotuje.

– Nie trzeba, Tymonie, naprawdę...

– Trzeba, trzeba. Widzę przecież, żeście z drogi, wygłodniali jak wilki.

Kaia posłała mu spojrzenie pełne nadziei, co tylko utwierdziło Hłaza w przekonaniu, że musi porządnie nakarmić swoich gości.

– A gdzie twoi synowie? – spytał Dardan, rozglądając się po okolicy. Wciąż trzymał na ręku dziewczynkę, której najwyraźniej bardzo spodobało się siedzisko zapewnione przez jego ramiona.

– Wysłałem ich do Zagości, po skóry. Henia musi powoli zacząć szyć nowe ubrania na zimę. Nazajutrz powinni wrócić.

– Wszystkich trzech? – zapytała podejrzliwie Kaia.

Tymon zaśmiał się i wzruszył ramionami.

– Ano wiecie, jak to jest... – Spojrzał na nią i puścił oko. – Tu w gospodarstwie raczej trudno o towarzystwo panien. A moi chłopcy już niemłodzi. Tedy, jak tylko jest okazja, do sąsiedniej Zagości pędzą jak na złamanie karku. Pozwalam im, bo czemuż miałbym odmówić? Młodość musi się wyszumieć, to raz. A dwa, że w gospodarstwie przydałyby się nowe, młode żony. Nawet jeśli nie moje...

Dardan parsknął, powstrzymując śmiech.

– No dobrze, ale chodźcie już. Musicie przecież odpocząć.



Potrawka była wyśmienita i nawet Dardan musiał to przyznać. Henia patrzyła na pałaszujących gości z wyraźną satysfakcją.

– Heniu, moje zlotko... – odezwał się gospodarz cikliwym głosem, spoglądając na żonę. – Przynieś no nam tego wina, co to jeszcze zeszelej zimy kupiliśmy w Zagości za dobrą cenę.

– Tymonie, nie trzeba – zająknął się Dardan. Kaia zmierzyła go groźnym spojrzeniem.

– Ależ właśnie trzeba! – rzuciła Henia i zerwała się z fotela. Niebawem wróciła z dzbanem, którego uniesienie sprawiłoby problem niejednej szczupłej niewieście. Pani Hłazowa jednak do szczupłych nie należała.

Tymon przyniósł cztery kielichy i już po chwili wszyscy wzniesli toast za szczęśliwe przybycie gości, jak to mieli w zwyczaju. Dziewczynki wskoczyły mamie na kolana i przytuliły się do niej. Morzył je sen.

W murowanym kominku przyjemnie trzaskał ogień, wyłożona owczymi skórami podłoga zapewniała miłe ciepło stopom. Kaia oparła się o ścianę za ławką, na której siedzieli z Dardanem.

– Jak tu u was blogo... – pochwaliła gospodarzy rozmarzonym głosem.

– Ha! Pewnie, że blogo – zgodził się Hłaz, po czym napełnił kielichy. Henia spojrzała na niego kątem oka, wyrażając dezaprobatę z powodu tempa, jakie narzucił mąż. – Kilka razy już mówiłem temu zakapiorowi – skinął głową w stronę Dardana – że moglibyście u nas zamieszkać. Jedna z chat dalej wolna stoi, a jak się ci moi nieszczęśni synowie w końcu pożenią, postawi się im kolejną.

– Dowcip cię nie opuszcza – zauważył Dardan.

Hłaz machnął ręką.

– No i weź gadaj tu z takim. Ja mu poważnie proponuję, żeby wreszcie na rzyci usiadł, a temu tylko w głowie step, koń i miecz...

Kaia spuściła głowę, wlepiając wzrok w kielich, w którym niewiele już zostało.

– Dobrze wiesz, że nie mogę... – powiedział cicho Dardan.

– Ano widzisz, mój serdeczny przyjacielu, nie wiem – oponował Hłaz. – Nie wiem i pojąć nie potrafię, co ci stoi na przeszkodzie, żeby wreszcie odłożyć siodło na kołek.

Dardan westchnął.

– Grasanci. Zbóje. Bandyci.

– Kruki, wilgi i sroki – przedrzeźnił go Tymon. – Szukasz tylko wymówek. Czy tobie, Dardanie, kto dał wyłączność na zaprowadzanie porządku na rubieżach królestwa?

De Brandt nachylił się ku niemu.

– Zaledwie wczoraj byliśmy w gospodzie... – Dardan streścił przebieg wydarzeń w karczmie „Pod Lichym Gołębiem”. W pewnym momencie zerknął na Henię i upewniwszy się, że wtulone w nią dziewczynki śpią, mówił dalej, nie pomijając krwawych szczegółów.

– Gdyby nie my, dziewczynę by pohańbili i najpewniej zabili. Karczmarza i każdego, kto próbowałby stanąć w ich obronie, spotkałby podobny los. Choć nikt się raczej nie kwapił. A trzeba ci wiedzieć, drogi Tymonie, że tropiliśmy tę bandę od dłuższego czasu. Ilu niewinnych dziewczek i chłopów nie udało nam się uratować?

Tymon milczał. Dardan również pozwolił sobie na dłuższą pauzę.

– Nie wiem, z jakiego powodu, ale w ostatnich miesiącach jest ich coraz więcej. Coś niedobrego musi dziać się w królestwie, skoro na każdym kroku spotykamy takie łachudry.

– Za moich czasów... – zaczął Tymon.

– Właśnie! – przerwał mu Dardan, podnosząc nieco głos. – Od wiosny nie widziałem żadnego strażnika patrolującego pogranicze. Jedyna stacja, którą mijaliśmy, zamieniła się niemal w burdel.

Hłaz zmarkotniał. Henia wstała, by zanieść dziewczynki do łóżka.

– Zmieńmy temat – powiedziała stanowczo Kaia i spojrzała na Dardana z wyrzutem. – Dałbyś się chwilę nacieszyć dobrym towarzystwem.

De Brandt uniósł kielich w przepaszającym geście i wychylił do dna. Siedzieli jeszcze jakiś czas, lecz wreszcie zmęczenie wzięło górę i goście położyli się w przygotowanym dla nich przez Henię pokoju.



Synowie Tymona Hłaza wrócili nazajutrz. Ledwie domownicy oraz goście skończyli śniadanie, dało się słyszeć parskanie koni i turkot wozu toczącego się po leśnej ścieżce. Zaprzężony był w dwa silne gniadosze, a powoził najstarszy potomek Hłaza – Marko. Dwaj jego młodsi bracia, Weniek i Zorko, siedzieli z tyłu, obok nich zaś widniał stos zwierzęcych skór wszelkiej maści.

Dardan wraz z Tymonem wyszli powitać przybyłych. Gdy tylko wóz wtoczył się na dziedziniec, bracia zeskoczyli i najpierw mocnymi uściskami powitali ojca, a potem, z wyraźnym dystansem, lecz i szacunkiem, przywitali się z Dardanem.

Zabrali się do przenoszenia skór do pobliskiej szopy, służącej zarazem za warsztat, w którym żona Tymona niedługo zacznie szyć nowe ubrania dla całej rodziny, a najpewniej i dla stałych gości, choć ci nigdy o to nie prosili. Dobroć Hłazów nie miała końca. Dzięki pomocy Dardana rozładunek poszedł sprawnie.

Oprócz skór synowie przywieźli z Zagości sól, przyprawy i produkty niemożliwe do pozyskania w gospodarstwie. W tym czasie Kaia oporządziła konie i odprowadziła je pod wiatę z boksami, gdzie zajęły miejsca obok wierzchowców braci.

Gdy praca została wykonana, wszyscy udali się do domu i zasiedli za stołem. Tymon rozlał każdemu po kubku wina, Henia zaś zabrała się do przygotowywania posiłków dla synów. Adela i Ionna świergotały radośnie, wyraźnie zadowolone z powrotu braci.

– No, to opowiadajcie, synkowie, co tam we wsi słychać – zagaił gospodarz, rozsiadając się wygodnie na ławie.

Bracia spojrzeli po sobie, jakby nie wiedząc, od czego zacząć. Było coś niepokojącego w ich minach.

– Coście tak zamilkli? Wino wam w gardłach stanęło? – rzucił ojciec, rychło jednak się uśmiechnął i uniósł otwartą dłoń. – O waszych miłosnych podbojach nie chcę nawet słyszeć.

– Daj spokój, ojcze – odezwał się wreszcie najstarszy, Marko.

– No, to mówże wreszcie. Widzę, że coś ukrywacie.

– Niedobrze się sprawy mają w Zagości, ojcze.

Wszyscy zamilkli. Radosny nastrój opuścił nawet Tymona. Pozwolili chłopakowi mówić.

– Ze wsi znikają ludzie... – zaczął ponuro Marko. Czuł na sobie pytające spojrzenia reszty. Dardan poruszył się nieznacznie. – Nie że giną czy coś, jak to się czasem trafi. Nieraz po pijaku ktoś wraca z karczmy i do rowu wpadnie albo nadzieje się na grabie. Rzadko, ale zdarza się, że kogoś wilki w lesie zagryzą, wtedy się go po kilku dniach znajduje i wiadomo, co się stało. Ale ostatnio jest inaczej. Ludzie po prostu wychodzą rano w pole albo z innymi sprawunkami i nie wracają. – Marko przerwał i spojrzał na ojca. W jego oczach widać było strach.

– W ostatnim miesiącu zaginęło w ten sposób sześć osób – dokończył. – Czterech mężczyzn i dwie kobiety. Ślad po nich zaginął. Nie wrócili do domów ani nie znaleziono ich ciał.

W pomieszczeniu zapanowała grobowa cisza. Gdy Henia przyniosła jedzenie i postawiła przed nimi tace z mięsiwem, chlebem i serem, zdziwiła się, że synowie nawet nie spojrzeli na strawę. Musieli być przecież głodni.

– Ludzie się boją – mówił dalej Marko. – Jak przyjechaliśmy, byli bardzo nieufni, choć przecież dobrze nas znają. Myśleliśmy nawet, że nam tych skór nie sprzedadzą...

Kaia westchnęła ciężko i spojrzała na Dardana. Wiedziała doskonale, co za chwilę usłyszy. Nie pomyliła się.

– Będziemy musieli to sprawdzić – oznajmił de Brandt.